



Analizy natolińskie

9(32)2008

JAN TOKARSKI

„Zmiana” bez zmiany?

Międzynarodowe wyzwania dla nowego prezydenta USA

"Zmiana" stała się faktem. Barack Obama, idący do wyborów pod tym właśnie hasłem, został 44. prezydentem Stanów Zjednoczonych. Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że okazja do skierowania amerykańskiej polityki na nowe tory jest idealna. Obama będzie mógł liczyć na poparcie swojego ugrupowania w Kongresie, gdzie Demokratom udało się wyraźnie zdominować partię republikańską. Co więcej, będzie naturalnym kandydatem swojej partii również w kolejnych wyborach na najwyższy urząd w państwie za cztery lata. Pozornie daje to nowemu prezydentowi stosunkowo duże pole manewru.

Jednocześnie Barack Obama będzie musiał sprostać ogromnym oczekiwaniom i stawić czoła skomplikowanym problemom. Amerykańskie społeczeństwo jest bardzo rozczarowane dwiema kadencjami prezydentury George'a W. Busha, który w rankingach nie-popularności pobił nawet wyniki Richarda Nixona z okresu po ujawnieniu afery Watergate. Kryzys ekonomiczny jest daleki od szczęśliwego rozwiązania. W polityce międzynarodowej wywołany samą zmianą w Białym Domu entuzjazm niektórych partnerów (zwłaszcza tych w UE), nie może przesłonić piętrzących się przed Waszyngtonem problemów w Iraku, Iranie, Afganistanie, Pakistanie oraz wielu innych miejscach.

Jak zatem rysują się perspektywy prezydentury Baracka Obamy? Czy będzie ona opierała się na aktywnym działaniu, czy też na reakcji? Czy dominował w niej będzie element kontynuacji, czy zerwania? Poniższy szkic stanowi próbę odpowiedzi na te pytania w oparciu o dostępną obecnie wiedzę.

1. Irak

Najbardziej oczywistym problemem Waszyngtonu jest Irak. Barack Obama należał do stosunkowo wąskiej grupy polityków od samego początku przeciwstawiających się amerykańskiej interwencji w tym kraju. To spora różnica dzieląca go od jego republikańskiego kontrkandydata, Johna McCaina. Rozbieżności między nimi w tej kwestii były również jednym z motywów przewodnich kampanii wyborczej.

Obama opowiadał się w niej za możliwie szybkim (tj. w ciągu szesnastu miesięcy) wycofaniem amerykańskich wojsk z Iraku i przerzuceniem przynajmniej części z nich do Afganistanu. Pomysły McCaina dotyczące polityki USA wobec Bliskiego Wschodu były natomiast w pełni zgodne z neokonserwatywnym idiomem. W jego myśl, w Iraku należy walczyć aż do zwycięstwa, w Afganistanie - zwiększyć militarne „ciśnienie” i opanować coraz groźniejszą sytuację, w sprawie Iranu i Korei Północnej - wzmocnić dyplomatyczny nacisk i wprowadzić ostrzejsze sankcje. To nierealistyczny, maksymalistyczny program, którego długofalowym skutkiem mogłoby być tylko pogłębienie *"American decline"*.

Wielką zaletą Obamy jest to, że - w przeciwieństwie do kandydata Republikanów - rezygnuje z prometejskich planów zbudowania demokratycznego millenium na Bliskim Wschodzie. Czy jednak będzie zdolny do dokonywania trudnych wyborów między, sprzecznymi ze sobą czasami, interesami Ameryki w poszczególnych obszarach? I czy niektóre z elementów jego planu zerwania z "doktryną Busha", nie mają z nią zaskakująco wiele wspólnego? Nie w sensie zbieżności przyjętej metody działania, lecz podobieństwa, jakie występuje między jakimś zjawiskiem, a jego lustrzanym, a więc po prostu odwróconym odbiciem...

Rozważmy bowiem. Jeżeli nawet decyzja o interwencji w Iraku była błędna, nie znaczy to, że decyzja o wycofaniu wojsk z tego obszaru staje się tym samym słuszną. Główna porażka polityki Busha nie polega bowiem na samym fakcie obalenia reżimu Saddama Husajna, lecz na tym, że nie udało się stworzyć żadnej nowej równowagi sił w regionie. Termin *„balance of power"* był zresztą w planach amerykańskiej administracji na przestrzeni ostatnich lat uderzająco nieobecny. Być może dlatego, że neokonserwatywnym analitykom, posiadającym w Białym Domu pewne wpływy zwłaszcza w okresie pierwszej kadencji Busha, zbyt kojarzył się z niepotrzebnie miękką ich zdaniem polityką klasycznego republikańskiego realisty, Henry'ego Kissingera.

Do myślenia kategoriami równowagi sił należy tymczasem niewątpliwie powrócić. Kluczowy problem tkwi jednak w tym, że plan wycofania się (zwłaszcza z wyraźnie określonym terminem) może jej nie zapewnić. Jest niemal pewne, że gdyby takie wycofanie nastąpiło dzisiaj, w Iraku nie wytworzyłyby się pod nieobecność USA żaden nowy porządek. Nastąpiłaby raczej implozja stabilności i dzisiejsze częściowe opanowanie sytuacji ustąpiłoby miejsca kompletnemu chaosowi.

Opcji nie ma więc zbyt wiele. Rozwijanie strategii *surge* na płaszczyznę polityczną nie wydaje się realną opcją. Jedną z ciekawszych możliwości jest natomiast propozycja zorganizowania konferencji państw z regionu, w ramach której próbowano by wynegocjować wspólne porozumienie w sprawie stabilizacji Iraku. Problem polega jednak na tym, że rozmowy takie byłyby zupełnie pozbawione sensu bez udziału państw takich jak Iran czy Syria. Dodatkowo, Stany Zjednoczone nie mają w rękawie żadnego asa. Inaczej, aniżeli przed przeszło dziesięć laty w przypadku negocjowania układu z Dayton, Waszyngton nie dysponuje żadnym wyraźnym straszakiem. Przed dyplomacją amerykańską stoi więc niezwykle ciężkie zadanie: przekonać wszystkich zainteresowanych, że destabilizacja jest dla nich szkodliwa, oraz że oparty na wzajemnych ustępstwach kompromis każdej ze stron się opłaca. Zrealizować to będzie Obamie niezwykle ciężko nawet, gdyby sekretarzem stanu w swojej administracji uczynił dyplomatę tak zaprawionego w rozwiązywaniu podobnych problemów, jak Richard Holbrooke.

Jak mogłoby jednak wyglądać takie porozumienie? Odpowiedzią może być proponowane przez wiceprezydenta Joe Bidena podzielenie Iraku na strefy, w których poszczególne grupy etniczne dysponowałyby sporym obszarem niezależności, a rola rządu centralnego byłaby mocno ograniczona. Jednocześnie dysponowałby on wojskową siłą pozwalającą na utrzymanie stworzonego w ten sposób stanu równowagi. W myśl takiego wariantu Amerykanie mogliby stopniowo wycofywać swoje wojska, wraz z uzgadnianiem kolejnych szczegółów umowy i przejmowaniem kontroli nad kolejnymi

Wielką zaletą

Baracka Obama jest to, że – w przeciwieństwie do kandydata Republikanów – zrezygnuje z prometejskich planów zbudowania demokratycznego millenium na Bliskim Wschodzie. Polityczne rozwiązanie sytuacji w Iraku musi jednak opierać się na chłodnej kalkulacji prawdopodobnych zysków i strat, aniżeli ideologicznie motywowanej woli zakończenia niepotrzebnej, jak uważa Obama, wojny.

obszarami przez same zainteresowane strony. Również taka strategia wymagałaby jednak od Waszyngtonu maestrii w połączeniu użycia *hard* i *soft power*. Z jednej strony należałoby bowiem skutecznie zwalczać działające na terenie Iraku grupy terrorystyczne, z drugiej – uzdolnić władze irackie do skutecznego przeciwstawiania się im bez zewnętrznej pomocy. Co więcej, trzeba by uzyskać poparcie od państw w regionie dla proponowanego rozwiązania dyplomatycznego. To zaś, biorąc pod uwagę konflikty interesów i różnice światopoglądowe, może być niezmiernie trudne.

Barack Obama będzie jednak musiał zaproponować jakiś pozytywny plan rozwiązania interwencji w Iraku. To dobrze, że zamierza odejść od demokratycznego mesjanizmu. Przemebłowanie Bliskiego Wschodu w rodzinę pokojowo ze sobą współistniejących państw demokratycznych jest mirażem umysłu, który uwierzył w nastanie końca Historii. A jednak proste odwrócenie strategii i wyjście z Iraku nie przyniesie korzystnych rezultatów. I mniej chodzi tu o stronę prestiżową (na co w kampanii wyborczej zwracał uwagę McCain). Brak politycznej równowagi uniemożliwi bowiem waszyngtońskiej administracji skuteczne działania w innych miejscach strategicznego regionu, jakim jest Bliski Wschód. Wyjście z Iraku z dobrym politycznym rozwiązaniem będzie więc niewątpliwie jednym z największych wyzwań prezydentury Baracka Obamy. Deklaracje dotyczące wykonania powyższego w jasno zdefiniowanym terminie mogą dodatkowo utrudnić całą operację. Wszystkie organizacje terrorystyczne będą bowiem z całą mocą działały na rzecz tego, by sytuację w odpowiedniej chwili (tj. tuż przed wyznaczonym terminem) możliwie głęboko zdestabilizować. Wprowadzenie takego termin będzie również dodatkowym, niepotrzebnie krępującym działanią nowej administracji czynnikiem.

Polityczne rozwiązanie sytuacji w Iraku musi opierać się raczej na chłodnej kalkulacji prawdopodobnych zysków i strat, aniżeli ideologicznie motywowanej woli zakończenia niepotrzebnej, jak uważa Obama, wojny. Co więcej, aby zarysowana powyżej taktyka się powiodła, Waszyngton będzie musiał znacznie ograniczyć swoje ambicje polityczne związane z tak zarysowanym porozumieniem. W tym sensie, powyższe rozwiązanie, poza tym że bardzo ciężkie do zrealizowania, jest nie tyle najlepszą, co najmniej złą alternatywą.

2. Afganistan

Irak nie będzie jednak jedynym wyzwaniem o kluczowym znaczeniu. Nowy amerykański prezydent zdaje sobie bowiem dobrze sprawę z tego, że w rozgrywce o uzyskanie politycznej stabilizacji na Bliskim Wschodzie nie mniej ważnym frontem będzie Afganistan. Po stosunkowo łatwym zwycięstwie ofensywy militarnej w tym kraju pod koniec 2001 roku, sytuacja okazała się z czasem być znacznie mniej dla Ameryki korzystna. Bojówki terrorystyczne działają dziś na tych terenach bardzo sprawnie i prowadzą całkiem skuteczną wojnę partyzancką z siłami NATO. Symbolicznym tego przykładem było odbicie przez oddziały Talibów więźniów przetrzymywanych w więzieniu w Kandahar.

Polityczne rozwiązanie problemu afgańskiego wydaje się więc być bardzo daleką perspektywą. Rząd w Kabulu jest słaby i niezdolny do utrzymania porządku poza pewnym bardzo wąskim obszarem. Dodatkowym problemem jest istnienie tzw. FATA (czyli przygranicznych regionów Pakistanu, zwanych Federalnie Administrowanymi Obszarami Plemiennymi), skąd destabilizujące działania przeprowadzają islamscy fundamentaliści. To gdzieś na tych górskich obszarach również, jeżeli wierzyć danym amerykańskiego wywiadu, przebywa obecnie Osama bin Laden i inni członkowie *crème de la crème* Al Kaidy. W efekcie Afganistan, zamiast przyczółka demokracji w regionie, przedstawia kolejne *failed state*.

Jeżeli brać jego zapowiedzi z kampanii wyborczej za dobrą monetę, to właśnie w kwestii Afganistanu Barack Obama pokaże, że nie jest żadnym „gołębiem”. Jak mówił podczas swojego przemówienia w Berlinie 15 lipca br., "jest rzeczą niedopuszczalną, że prawie siedem lat po tym, jak niemal trzy tysiące Amerykanów zginęło na naszej ziemi, terroryści, którzy przeprowadzili ataki z 11 września są wciąż na wolności. Osama bin Laden i Ayman al-Zawahari nagrywają wiadomości dla swoich popleczników i sięją coraz większy terror. Talibowie kontrolują sporą część Afganistanu. Al Kaida posiada bazę wypadową w Pakistanie, która najprawdopodobniej położona jest nie dalej od starego afgańskiego sanktuarium, niż przejażdżka pociągiem z Waszyngtonu

Jeżeli zapowiedzi

Baracka Obamy z kampanii wyborczej brać za dobrą monetę, to właśnie w kwestii Afganistanu pokaże on, że nie jest żadnym „gołębiem”. To bowiem w Afganistanie, a nie w Iraku, Ameryka toczy, jak precyzował Obama „wojnę, którą musimy wygrać.”

do Filadelfii". To w Afganistanie, a nie w Iraku, Ameryka toczy więc, jak precyzował Obama nieco dalej w swoim przemówieniu, "wojnę, którą musimy wygrać".

Jakie są jednak realne szanse na to zwycięstwo? Sami amerykańscy wojskowi, z gen. Patreusem na czele, podkreślają, że powtórzenie w Afganistanie sukcesów militarnych strategii *surge* jest mało prawdopodobne ze względu na odmienne niż w Iraku uwarunkowania. Co więcej, dopóki Obama nie doprowadzi do wyraźnej stabilizacji sytuacji w Iraku, ciężko będzie mu wyraźnie zwiększyć ciśnienie wojskowe w Afganistanie. Jeżeli natomiast, zgodnie ze swoimi ambitnymi zapowiedziami, prędko wycofa amerykańskie oddziały w Iraku, faktycznie zdolny będzie - zgodnie z tym, co mówił choćby Chuck Hagel - przerzucić na teren Afganistanu dodatkowe 10 tysięcy żołnierzy. Rozwiązanie to okaże się jednak nad wyraz krótkofalowe. Sytuacja w Iraku szybko stanie się bowiem jeszcze bardziej paląca niż w Afganistanie, i część oddziałów trzeba będzie wysłać z powrotem. A jeżeli nawet prezydent nie zdecydowałby się na odesłanie części wojska z powrotem do Iraku, zaniechanie to najprawdopodobniej trwale uniemożliwiłoby opanowanie sytuacji w Afganistanie, bo z niestabilnego Iraku będą doń mogły wciąż dopływać nowe siły islamskich bojówek terrorystycznych.

Wydaje się więc, że chłodna kalkulacja sił wymusi na Baracku Obamie znacznie mniej ambitne postępowanie w Afganistanie, aniżeli to wynika z jego wyborczych zapowiedzi. Możliwe, że zdecyduje się na szereg operacji bojowych mających na celu zniszczenie osad organizacji terrorystycznych. Może to, w rzeczy samej, przyczynić się do częściowej poprawy sytuacji w Afganistanie. Na szybkie i trwałe rozwiązanie nie należy jednak liczyć. Aby było to możliwe, Ameryka musiałaby mieć zupełnie wolne ręce w innych bliskowschodnich kwestiach. Tak tymczasem nie jest.

3. Iran

Kolejnym tego przykładem jest Iran. Teheran stanowi zresztą klucz do całej skomplikowanej sytuacji na Bliskim Wschodzie. Jest głównym beneficjentem usunięcia Saddama Husajna z Iraku. W trakcie kampanii wyborczej Obama i McCain odnośnie polityki USA wobec Iranu zgadzali się właściwie tylko w jednej kwestii: że nie można dopuścić do wejścia przez Teheran w posiadanie arsenału nuklearnego. Zasadnicze różnice dotyczyły jednak tego, jak ten cel osiągnąć.

Kandydat Republikanów postulował zwiększenie nacisku na Iran poprzez wprowadzenie znacznie bardziej represyjnych sankcji ekonomicznych. Uważał również, że

Waszyngton powinien być przygotowany do ewentualnego użycia siły (zbombardowanie głównych ośrodków irańskiego programu atomowego - unilateralnie, bądź wspólnie z Izraelem). Barack Obama twierdził natomiast, że skuteczniejsze okażą się działania dyplomatyczne. Podkreślał nawet, że gotów jest przystąpić do bezpośrednich pertraktacji z prezydentem Achmedineżadem bez jakichkolwiek warunków wstępnych. Czy zrealizuje te zapowiedzi, jako nowy prezydent Stanów Zjednoczonych?

Sprawa nie jest jednoznaczna. Jeżeli Obama faktycznie wierzy w możliwość wypracowania realnego porozumienia z Teheranem w obecnych warunkach (tj. bez uprzedniego „zachęcenia” go do współpracy drogą sankcji ekonomicznych czy zwiększonej presji politycznej), to wiara taka wydaje mi się naiwna. Zwłaszcza, że Iran nie jest wrogi Waszyngtonowi jedynie z powodu sprzecznych interesów geopolitycznych obydwu państw, ale również ze względów ideologicznych.

Jeżeli natomiast nowowybrany amerykański prezydent wcale nie liczy na szybkie zawarcie porozumienia, ale jego deklaracje dotyczące rozmów bez warunków wstępnych są dyplomatycznym blefem, podejmuje z Teheranem bardzo ryzykowną grę. Z jednej strony wydaje się to być taktyka stosunkowo sprytna: zaprosimy Iran do rozmów na ich warunkach. Jeżeli się nie zgodzą, dostaniemy do rąk mocny dowód pokazujący niezbicie, że jakiegokolwiek możliwości dyplomatycznego dialogu z Teheranem są iluzoryczne. Logiczną konsekwencją będzie wówczas przystąpienie do działań mających na celu wywieranie nań zdecydowanej presji politycznej i gospodarczej. Innymi słowy, za pomocą wspomnianego blefu Obama jednym pociągnięciem oddaliłby zarzuty o imperialne zapędy Ameryki w regionie oraz realizował, *de facto*, cele formułowane w trakcie kampanii przez Johna McCaina.

Problem z tą z pozoru sprytną taktyką pojawiłby się jednak w momencie, gdy odpowiedzią na blef Obamy byłoby pokerowe stwierdzenie Teheranu: „sprawdzam”. Jeżeli bowiem irańscy przywódcy nie nabiorą się na to posunięcie i zdecydują się usiąść do negocjacyjnego stołu, Ameryka odda bardzo wiele za bardzo niewielką cenę. Zamknie bowiem przed sobą - przynajmniej na pewien czas - możliwość stosowania wobec Iranu presji politycznej czy ekonomicznej np. za pomocą sankcji. Teheran tymczasem nie

Jeżeli nowy

prezydent USA wcale nie liczy na szybkie zawarcie porozumienia z Iranem, a jego deklaracje dotyczące rozmów bez warunków wstępnych są dyplomatycznym blefem, to podejmuje z Teheranem bardzo ryzykowną grę.

będzie wcale dążył w takich rozmowach do zawarcia jakiegokolwiek realnego porozumienia. Będzie grał na czas. Będzie czynił swoim wobec Waszyngtonu pozorne ustępstwa, wykonywał pewne koncyliacyjne, lecz niewiele znaczące ruchy, jednocześnie nie dokonując żadnej realnej reorientacji swojej polityki. Nie leży to po prostu w jego interesie i byłoby sprzeczne z jego państwową ideologią. Doczekalibyśmy się więc w takim wariantcie swoistej powtórki z tego, co przez jakiś czas miało miejsce w Iraku, zanim przystąpiono tam do działań wojennych. Prezydent Obama zaś straciłby praktycznie możliwość wykorzystywania środków twardszego nacisku. Skoro bowiem zdecydował się na rozmowy bez wstępnych ustaleń, a Teheran pozytywnie odpowiedział na tą propozycję, nie pozostaje nic innego, jak rozmawiać. A że rozmowy przeciągają się, do konkretnych ustaleń ciężko jest zaangażowanym stronom dojść, a nawet osiągnąwszy je - mają kłopoty z ich wdrożeniem; jest to chleb powszedni dyplomacji. „Kongres nie idzie do przodu, kongres tańczy.”

Nie ma większych wątpliwości, że z Iranem Ameryka musi rozmawiać. Kluczowe pytanie dotyczy jednak tego, jakiego rodzaju rozmowy, przeprowadzone w jakich warunkach mają realną szansę przynieść zamierzone efekty. Waszyngton jest zaangażowany w zbyt wiele zapalnych sytuacji w regionie, aby mógł sobie pozwolić na jakieś ultratwarde stanowisko wobec Teheranu. Musi - w porozumieniu z partnerami - stosować taktykę „kija” i „marchewki”. Bez odpowiedniego nacisku ze strony regionalnych sił i wpływowych mocarstw (a to oznacza konieczność uzyskania częściowego chociaż poparcia Rosji i Chin), przywódcy Iranu nie będą po prostu skorzy do podjęcia realnego dialogu. Na stratę czasu w postaci wejścia w pozorne negocjacje, w których Waszyngton faktycznie chce coś uzyskać, a Teheran jedynie gra na zwłokę, Stany Zjednoczone nie mogą sobie pozwolić. Amerykański prezydent może starać się wykorzystać, na ile to możliwe, wewnętrzne napięcia między Achmedineżadem, a niektórymi ze starszych przywódców religijnych oraz odwoływać się do wąskiego obszaru wspólnych interesów, jakie Iran dzieli ze Stanami Zjednoczonymi w regionie. Ani jednym ani drugim nie opłacają się na przykład szerokie wpływy Al Kaidy w Iraku, czy trwała i głęboka destabilizacja tego kraju. Problem polega jednak na tym, że wizje pozytywnego rozwiązania tego problemu są w przypadku obydwu Teheranu i Waszyngtonu zupełnie rozbieżne. Także wykorzystując możliwie szerokie wsparcie ze strony innych sił w regionie, można wywierać presję mającą skłonić Teheran do podjęcia realnych rozmów. Sam z siebie, Iran nie nabierze ochoty do zawarcia porozumienia.

Szansy na porozumienie są niewielkie, lecz nie zupełnie nierealne. Polityka zagraniczna Iranu zna przecież liczne wyjątki od zasady kierowania się względami ideologicznymi. Teheran poparł na przykład chrześcijańską Armenię podczas wojny z szyickim Afganistanem. Zawarł również porozumienia z nie mniej „bezbożnymi” niż USA reżimami na Kubie czy w Wenezueli. Problem polega jednak na tym, że twardy antyamerykanizm od dobrych trzech dekad jest jedną z podstawowych cech wizji politycznej ajatollacha Ali Chamenei'ego - najważniejszej osoby w państwie. Niezależność Teheranu i wierność zasadom rewolucji Chomeiniego z 1979 roku wymaga jego zdaniem, aby w Stanach Zjednoczonych widzieć nie potencjalnego partnera, lecz wroga siłę. Dlatego trudno wyobrazić sobie możliwość realnego dialogu między Ameryką a Iranem, bez uprzedniego przyciśnięcia tego ostatniego do muru za pomocą wielostronnej presji politycznej i ekonomicznych sankcji. Zwłaszcza naciski gospodarcze mogą dać dobry skutek, biorąc pod uwagę niekonkurencyjną cenę baryłki irańskiej ropy w zestawieniu z tą z Rosji czy Arabii Saudyjskiej (różnica rzędu nawet 40%) oraz stopień uzależnienia gospodarki Iranu od eksportu tego surowca (eksperci szacują, że ponad 80% dochodów Teheranu z eksportu pochodzi właśnie stąd). Również wyraźne zaznaczenie w dyplomatycznych działaniach, że dla Waszyngtonu istotna jest zmiana zachowania, a nie zmiana reżimu, może zwiększyć szanse zrealizowania tego trudnego celu. Stany Zjednoczone powinny jednak podjąć ryzyko i spróbować osiągnąć w omawianym wymiarze chociaż częściowy postęp.

4. Rosja

Tym samym dochodzimy do kolejnego istotnego punktu w agendzie zagranicznej nowego amerykańskiego prezydenta - Rosji. Posiada on szczególnie istotne znaczenie zwłaszcza z polskiego punktu widzenia. Przyjrzyjmy się mu więc pod tym kątem.

W toku kampanii wyborczej ani Obama ani McCain nie szczędzili Rosji ostrych słów za wkroczenie jej wojsk do Gruzji w sierpniu 2008 r. Wydaje się jednak, że różnice w samej optyce patrzenia na sprawy rosyjskie są u obydwu polityków znaczące. John McCain, jak na „zimnowojennego wojownika” przystało, widzi w Rosji neoimperialną siłę, działającą na rzecz destabilizacji sytuacji politycznej w Europie środkowo-wschodniej i chcącą stopniowo poszerzać swoją strefę wpływów przez uzależnianie kolejnych państw od swoich dostaw energii. „Geopolityka przez ropę” - oto jak Mc-

Cain (całkiem słusznie zresztą), mógłby podsumować samą istotę strategii politycznej przyjętej przez Moskwę.

Inaczej Barack Obama, który patrzy na Rosję bardziej chłodno i instrumentalnie. Moskwa nie stanowi dla niego problemu samego w sobie, ale raczej jeden z elementów szerszej geopolitycznej układanki. Za tym podejściem stoją zresztą ważne racje. Neoimperialna polityka Rosji może budzić niepokój wschodnioeuropejskich partnerów Stanów Zjednoczonych. A jednak wyraźne jej osłabienie jest sprzeczne z amerykańskim interesem narodowym. Słaba Rosja oznacza bowiem mniejszą możliwość szachowania wschodzącej potęgi światowej Chin. Co więcej, jak stwierdziliśmy powyżej, współpracę z Moskwą będzie Obamie niezbędna dla realizacji jego planów na Bliskim Wschodzie. Kalkulacja przedstawia się tu bowiem całkiem jasno: im ambitniejsze ma się plany rozwiązania problemów bliskowschodnich, tym mniej ambitne muszą być plany prowadzenia twardej polityki wobec Rosji. Nie można – realistycznie patrząc – mieć obydwu tych rzeczy naraz.

Im ambitniejsze

ma się plany rozwiązania problemów bliskowschodnich, tym mniej ambitne muszą być plany prowadzenia twardej polityki wobec Rosji. Nie można – realistycznie patrząc – mieć obydwu tych rzeczy naraz.

Paradoks polega na tym, że złudzenia Johna McCaina dotyczące jego polityki choćby wobec Iraku byłyby dla Polski nieco korzystniejsze, aniżeli bardziej realistyczny program Obamy. McCain bowiem, wierząc w możliwość odniesienia pełnego zwycięstwa w Iraku poprzez kontynuowanie strategii *surge*, mniej musiałby polegać na Rosji w tym wymiarze swojej polityki, aniżeli chcący wycofać się stopniowo z tego państwa Obama. Oczywiście, nie chcę przez to powiedzieć, że kandydat Republikanów tak „skroił” swój program wobec Bliskiego Wschodu, że pomoc Moskwy byłaby mu w jego realizacji do niczego nie potrzebna. To nonsens. Plan McCaina był bowiem pod wieloma względami ambitniejszy, miejscami wręcz maksymalistyczny, w zestawieniu z programem nowego prezydenta. Rola Rosji w jego realizacji musiałaby więc być – czy chciałby tego, czy nie – bardzo duża.

Trzeba jednak zwrócić uwagę na to, że w wizji Obamy rola Rosji wcale nie będzie wyraźnie mniejsza. Demokratyczny prezydent również będzie musiał polegać na jej współpracy – czy to chcąc wycofać się z Iraku bez trwałej destabilizacji sytuacji poli-

tycznej w tym państwie, czy to w ewentualnych negocjacjach z Iranem, czy w swej polityce wschodnioazjatyckiej. Jego pole manewru *vis-à-vis* Moskwy wcale nie będzie więc wyraźnie większe, aniżeli to, jakim dysponowałby McCain. Republikanin tymczasem - dysponując tym stosunkowo niewielkim obszarem elastyczności - prowadziłby zapewne wobec Moskwy politykę bardziej zbliżoną do polskiej perspektywy i polskich interesów. Jego doradcy wiele miejsca poświęcali strategicznej roli Gruzji i Ukrainy w geopolitycznych puzzlach naszej części Europy. Robert Kagan, od lat zaprzyjaźniony z senatorem z Arizony, sugerował nawet w opublikowanym niedawno esej, że nowoczesne tyranie w rodzaju Rosji czy Chin, stanowią dla świata zachodniego dłużej i bardziej niebezpieczne zagrożenie, aniżeli międzynarodowe organizacje terrorystyczne w rodzaju Al Kaidy. Różnica w politycznej praktyce obydwu kandydatów nie byłaby więc wprawdzie zasadnicza (można wręcz powiedzieć, że byłaby w omawianej kwestii niewielka). Niemniej jednak to John McCain w swej polityce rosyjskiej byłby zapewne nieco bliższy partykularnym interesom Warszawy, aniżeli zwycięzca wyborów, Barack Obama.

5. Europa

Sprawy rosyjskie są oczywiście ściśle związane z europejskimi. I chociaż większość politycznych elit starego kontynentu z pewnością przyjęła wybór Obamy z ulgą, nie oznacza to bynajmniej nastania ery usłanej różami współpracy. Jest tak z dwóch względów.

Po pierwsze, europejskie elity mają mocno wyidealizowane wyobrażenie o senatorze z Illinois. Postrzegają go jako dokładne przeciwieństwo George'a W. Busha. Tymczasem, chociaż Obama wygrał wybory pod hasłem "zmiany", elementów kontynuacji w jego polityce będzie zapewne wcale niemało. Zwłaszcza, że nowy prezydent dzieli z Bushem kilka przekonań szczególnie drażliwych dla sporej części Europejczyków (jak choćby gotowość do unilateralnych działań bez zgody ONZ, kiedy wymaga tego bezpieczeństwo narodowe). Prawdopodobne jest więc, że europejskie elity, po początkowym zachwycie, dość mocno się polityką Obamy rozczarują. Okaże się bowiem, że jego plan polityczny nie składa się z samych „miękkich” elementów, a sam prezydent nie jest żadnym „gołębkiem” w sprawach międzynarodowych.

Po drugie, również stanowisko Baracka Obamy wobec Europy jest dość charakterystyczne. Mniej interesuje go bowiem Unia jako całość, bardziej zaś - dominujące w

niej państwa, a więc Niemcy, Francja i Wielka Brytania. To w Berlinie, Paryżu i Londynie będzie widział swoich głównych partnerów w podejmowanych inicjatywach międzynarodowych. To, przynajmniej, dość chłodna, motywowana względami geopolitycznymi perspektywa. Tymczasem, to właśnie te najważniejsze państwa „starej Unii” będą najprawdopodobniej stosunkowo odporne w udzielaniu Obamie pomocy w niektórych ważnych dla niego sprawach (jak np. wysłanie dodatkowych oddziałów wojskowych do Afganistanu).

Mimo tego, można spodziewać się pewnego ocieplenia w stosunkach transatlantyckich. Barack Obama objął urząd prezydenta obdarzony przez europejskie elity zbyt dużym kredytem zaufania, aby miało ono w całości rozwiać się we mgłę. Poza tym, w kontekście obecnego kryzysu ekonomicznego, wspólne interesy Europy i Ameryki raz jeszcze stają się bardziej widoczne i istotne, aniżeli różnice dzielące „stary” i „nowy” kontynent. Zażegnanie krachowi globalnej gospodarki jest więc dobrym impulsem dla odnowy transatlantyckiej współpracy.

I jest tak mimo tego, że pewne istotne różnice w przyjętej po obu stronach Atlantyku na progu XXI-go stulecia filozofii polityki nie zostały bynajmniej zażegnane. Odejście Busha nie unicestwiło ich, nie są one bowiem rezultatem jego „toksycznej” (jak zapewne uważa większość europejskich elit) osobowości. Wypląły na powierzchnię pod wpływem zewnętrznych okoliczności, a dodatkowo wzmocniły je jeszcze niedobre posunięcia obydwu stron.

6. Podsumowanie

Pozornie, wraz z wyborem Baracka Obamy do Białego Domu, postulowana przez niego w kampanii wyborczej "zmiana" stała się faktem. Z objęciem urzędu przez nowego prezydenta historia nie zaczyna się jednak na nowo. Czy Obama będzie więc faktycznie miał możliwość przekierowania amerykańskiego imperium na nowe tory? Czy Waszyngton będzie mógł pozwolić sobie na luksus aktywnego działania, w rozumieniu wybierania obszarów (merytorycznych i geograficznych) kluczowych dla swojej polityki?

Europejskie elity

*mają mocno wyidealizowane wyobrażenie o senatorze z Illinois. Postrzegają go jako do-
kładne przeciwieństwo
George'a W. Busha.
Tymczasem, chociaż
Obama wygrał wybory
pod hasłem „zmiany”,
elementów kontynuacji
w jego polityce będzie
zapewne wcale niemało.*

Wydaje się, że w większości problemów skazany jest na reagowanie. Sytuacja w Iraku jest daleka od wyjaśnienia. Afganistan to teren wysoce niebezpieczny, na którym islamscy fundamentaliści rzucają zachodnim oddziałom wojskowym niezwykle trudne wyzwanie. Iran rozwija wciąż prace, których zwieńczeniem ma być wejście przezeń w posiadanie arsenału atomowego. Gdzieś w pasmach górskich na granicy Afganistanu i Pakistanu znaleźli schronienie czołowi działacze Al Kaidy i uczynili z nich swą bazę wypadową do skutecznej destabilizacji sytuacji w regionie. Konflikt izraelsko-palestyński daleki jest od szczęśliwego zakończenia. Rosja kontynuuje swoją neoimperialną politykę w rejonach o strategicznym znaczeniu z punktu widzenia dostaw surowców energetycznych, jak widzieliśmy niedawno na przykładzie Gruzji. Chiny są o krok od stania się światową superpotęgą, jeżeli już nią nie są. Rola polityczna Indii na Dalekim Wschodzie stale wzrasta. Innymi słowy, inaczej niż można to sobie było wyobrażać zaraz po *annus mirabilis* 1989, świat ponownie jest niespokojnym, pełnym zagrożeń miejscem. „Moment jednobiegunowości” – a więc wyraźnej geopolitycznej dominacji USA nad wszelkimi innymi graczami – przemija na naszych oczach. Wracamy do wielobiegunowej rzeczywistości i jej twardych wymogów.

Nowy prezydent USA, Barack Obama, będzie musiał odnaleźć się w tej trudnej sytuacji. Paleta problemów, jakie piętrzą się dziś przed Waszyngtonem jest jednak dzisiaj zbyt rozległa, aby można było mówić o jakiejś strategicznej reorientacji w polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych. Transformacji ulec może metoda działania w niektórych obszarach, sposób realizowania amerykańskich interesów, lecz nie to, jak się je definiuje.

Jeżeli jednak uda mu się rozwiązać bądź chociaż znacząco ustabilizować sytuację w niektórych ze wspomnianych obszarów, amerykańska polityka zagraniczna po zakończeniu kadencji nowego prezydenta odzyska tak potrzebną jej do skutecznego działania i umacniania swej pozycji w świecie elastyczność. Osiągnięcie tego celu – nawet za cenę częściowych, ale możliwych do zaakceptowania ustępstw w różnych obszarach – byłoby sukcesem Baracka Obamy. Na razie jednak jego prezydentura musi być „zmianą bez zmiany”.

(listopad 2008)

JAN TOKARSKI – doktorant w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk w Warszawie.